

Brak Słów – nr. 3

20.12.2021



Spis treści

PUBLICYSTYKA

Kici kici	3
Czy Chaos można ugryźć?	7
Między Bogiem a prawdą — recenzja <i>Dewocji</i> Anny Ciarkowskiej	9

POEZJA

6 444 555 666 7777 222	11
Nie pamiętam	12
witajcie w mojej kuchni	13
Morska głębia – debiut poetycki	14

PROZA

Gołąb	15
-------------	----

GOŚCINNIE

Raniąc puder	17
Drugi list do kapsuły czasu	19
obraz z dni trwających	21
Kartka z pamiętnika	22

Kici kici

Aga Becherka

Ciszę w autobusie przerwało: „cmokać to sobie możesz na kota”. Wszyscy odwróciliśmy głowy, a nasz wzrok zatrzymał się na młodej dziewczynie, która zde gustowana lustrowała mężczyznę siedzącego obok niej. Dzień jak co dzień, nawet nie byłam zaskoczona tą sytuacją. Zjawisko *catcallingu* jest w Polsce bardzo powszechne, choć mało kto nazywa je po imieniu. Sam termin (według Obserwatorium Językowego Uniwersytetu Warszawskiego) oznacza „wulgarne zaczepki lub komentarze o charakterze seksualnym kierowane przez mężczyzn do kobiet w przestrzeni publicznej, np. do kobiety mijanej na ulicy”¹. Uważam, że tę definicję można (niestety) spokojnie poszerzyć i dodać do niej wszystkie płcie. I jako oprawców, i jako ofiary.

No bez przesady, to tylko zwykłe przekomarzenia! Po co robić z igły widły... Kto z nas nie doświadczył takiej sytuacji, w której został potraktowany jak przedmiot seksualny? Gwizdanie, mlaskanie, trąbienie czy niewybredne komentarze rzucone pod adresem osób mijanych w miejscach publicznych są po prostu formą słownego molestowania. Niestety ofiary często boją się zareagować – zazwyczaj nie byłoby w stanie odeprzeć potencjalnego ataku lub obawiają się słownej konfrontacji. Brak wsparcia okazuje też otoczenie. Nie można wymagać od nikogo heroizmu – owszem – ale nawet na zasłyszane historie często reaguje się śmiechem lub (co gorsza!) namawianiem do odebrania takiego zachowania jako komplementu. Nie wiem, od kiedy uprzedmiotawianie kogokolwiek jest choćby w najmniejszym stopniu akceptowalne moralnie. Dla mnie jest to po prostu obrzydliwe.

Temat słownego molestowania i przemocowego traktowania jednostki nie jest obcy literaturze. Lee Soho, autorka tomu *Catcalling*, kreując postać Kyungjin, pokazuje, z czym zmagają się młode Koreanki². Patriarchalny świat pełen jest seksizmu i wielowymiarowego okrucieństwa. Dzięki formie, jaką obrała twórczyni, osoba czytająca niemal dostaje po twarzy całą tę obrzydliwość. Tom zawiera nie tylko poezję, ale i prozę oraz nowatorskie *mush upy* literacko-graficzne. Wszystko to łączy się w specyficzną, chaotyczną, a mimo to spójną całość bardzo dobrze odzwierciedlającą rzeczywistość. Tę rzeczywistość, którą znają nie tylko kobiety z Korei Południowej. Tę sytuację znam również ja, zna moja siostra, moja mama, znają moje przyjaciółki oraz mijane na ulicy nieznajome. I mimo że Kyungjin jest młodą poetką, to my wszystkie jesteśmy Kyungjin, a ona jest nami.

Twórczyni bardzo umiejętnie przedstawia sposób myślenia oprawców, przy okazji podkreślając, że przekraczaniem granic nie jest wyłącznie gwałt.

W utworze *Miss you when I'm tipsy*³ widzimy typową (straszne jest to, że mogę użyć w tym momencie tego słowa) sytuację – jestem wstawiony, mam ochotę, a ty masz moje potrzeby zaspokoić.

What in the world is you're definition of dating? A man and a woman getting together regularly and having fun and eating and fucking. (...) I still don't understand what your problem is. Women are so weird⁴.

Wspaniały przykład pasywno-agresywnej postawy kogoś, kto zawsze musi wziąć to, co chce. Najgorsze, że często weźmie – z przyzwoleniem czy bez niego.

Powyższy opis to świadectwo, w pewnym sensie, literackie, choć tak bliskie rzeczywistości, z którą mierzymy się codziennie. Te obie przestrzenie doświadczeń są mi znane, ale mimo to zdecydowałam się na poszerzenie mojej wiedzy, żeby nie opierać się wyłącznie na własnych doświadczeniach i doświadczeniach zapośredniczonych przez literaturę. Informacje, które uzyskałam za pomocą ankiety⁵ są przerażające. Odpowiedzi udzieliło 120 osób, wśród których prawie 92% (110 odpowiadających) stanowiły kobiety. Ponad 90% ankietowanych uznało, że doświadczyło w swoim życiu *catcallingu*, podobny odsetek wypełniających określił to zjawisko jako niebezpieczne.

Osoby dotknięte przemocą słowną najczęściej czuły lęk, zażenowanie i frustrację. Lęk – bo nie wiedziały, czy po sprośnych wypowiedziach nie nastąpi coś więcej. Zażenowanie – bo były seksualizowane w przestrzeni publicznej, a granica poczucia intymności została przekroczona. Frustrację – bo nie mogły (bały się) zareagować, nikt inny nie zareagował, wiedziały, że to nie ostatni raz, gdy znajdują się w takiej sytuacji. Te emocje ciągną się za ofiarami przez długi czas, powodując dyskomfort psychiczny (szczęśliwie, jeśli tylko dyskomfort). Kobiety⁶, które podzieliły się ze mną swoimi odczuciami, często zwracały uwagę na to, że spadło ich zaufanie do mężczyzn. Odczuwają niepokój, kiedy są same i mijający je samochód zwalnia; kiedy idą same i zaczyna być ciemno; kiedy słyszą za sobą szybkie kroki; kiedy na horyzoncie pojawia się grupa głośnych mężczyzn. Stajemy się czujne jak zwierzęta – jakbyśmy były zwierzyną łowną w okresie polowań. A przypada on najczęściej na czas od połowy maja do września. Wtedy mamy czelność pokazać kawałek ciała.

Chciałabym teraz przytoczyć kilka wypowiedzi, aby jeszcze lepiej zobrazować poruszony przeze mnie problem. Ostrzegam jednak osoby wrażliwe – zdania te mogą wywołać naprawdę silne emocje. Pojawiają się w nich również wulgaryzmy i słowa uważane społecznie za „brzydkie”.

„Gdybym ja miał taką lochę, to nie mogłaby siedzieć od ruchania”.
„Gdyby nikogo tu nie było, to bym się nie mógł opanować”.

„Ale ci latają te balony, aż bym zmacał czy prawdziwe”.
„No chodź tu do pana, mała suko!”.
„Tak cię przepcham, że jak ci włożę od tyłu, to ci ustami wyjdzie”.
„A może chcesz iść do mnie i się pobawić, zabaweczko?”.

Czy wygląda to nieprawdopodobnie? Tak. Chciałabym, żeby takie właśnie było. Chciałabym móc zarzucić ankietowanym koloryzowanie historii. Ale nie mogę tego zrobić, bo i ja nie raz stałam się „suczka”, którą „można by robić na tyle sposobów”, że „dostarczyłabym rozrywki na cały tydzień”. Najczęściej wskazywaną niewerbalną formą *catcallingu* było gwizdanie i trąbienie. Po raz kolejny przychodzi na myśl relacja zwierzyzna – łowca. Popularne ataki słowne to: „ale masz fajną dupę”, „pokaż trochę więcej cyca”, „niezła z ciebie dupa”, „więcej ciątka następnym razem”. Pojawiają się również przeróżne porównania do sfery seksualnej oraz – co moim zdaniem jest naprawdę niepokojące – deklaracje różnych czynności, które nadawca takiej wypowiedzi chętnie wykonałby z adresatką. Jak więc mamy się nie bać?

Ostatnie pytanie w mojej ankiecie było przestrzenią do swobodnego wyrażenia przemyśleń na temat *catcallingu*. Dotknęło mnie, jak wiele osób chciałoby czuć się bezpieczniej, ile z nich pochwaliło nagłośnienie tego przemilczanego przez społeczeństwo zjawiska. Zwróciły też uwagę na to, że często nie reagują dorośli. Większość z przytoczonych przeze mnie tekstów kierowanych było do dziewczynek (poniżej 15 roku życia!) i młodych kobiet. Nie odczuły one wsparcia od osób starszych ze swojego otoczenia. Ani nauczyciele, ani bliscy, ani nieznajomi świadkowie nie zareagowali lub zbagatelizowali te sytuacje. Bo przecież łatwiej jest kogoś zbyć niż okazać zrozumienie czy wsparcie. Jestem w szoku, że można pozostawić młodego człowieka bez żadnej rozmowy, która ułatwiłaby mu poradzenie sobie z tak negatywnymi bodźcami.

Od dzieci oczekuje się, żeby były grzeczne. Stawia się im wiele wymagań. Może czas zacząć mierzyć tą samą miarą dorosłych? Tak często zmusza się wnuczki i wnuczków do cmokania babć na imieninach, że dojrzały ludzie nie potrafią pohamować się w miejscach publicznych i cmokają na nieznajomych.

¹P. Paliwski, M. Czeszeski, *Obserwatorium Językowe Uniwersytetu Warszawskiego*, [online], <https://nowewyrazy.uw.edu.pl/haslo/catcalling.html> (dostęp 11.11.2021).

²Warto dodać, że pośrednią motywacją do wydania tej książki był globalny ruch #MeToo, którego celem było zwrócenie uwagi na problem molestowania seksualnego.

³L. Soho, *Catcalling, Open Letter*, 2018, s.37.

⁴Tamże.

W wolnym tłumaczeniu: „Jaka jest twoja definicja randkowania? Mężczyzna i kobieta spotykają się regularnie,

bawią się, jedzą i pieprzą. (...) Nie rozumiem, z czym masz problem. Kobiety są takie dziwne”.

⁵Stworzyłam anonimową ankietę w Formularzach Google. Zawierała 7 pytań, z czego 4 zamknięte i 3 otwarte. Opierała się na określeniu swojego stosunku do zjawiska *catcallingu*, opisanie własnych przeżyć oraz tego, jak wpłynęły one na samopoczucie ankietowanych. Zaznaczam, że było to pogładowe zebranie

informacji, nie zaś badanie.

⁶Spośród ankietowanych jedynie kobiety opisywały catcalling, którego doświadczyły. Osoby innych płci zdawały jedynie relacje z sytuacji, których były świadkami.

Czy Chaos można ugryźć?

Filip Kaczmarek

Jak zdefiniować chaos? Bardziej stanowi on siłę, która staje się motorem wszystkiego, co nieoczekiwane, czy może raczej jego ścisła definicja mieści się w byciu antytezą równie niedookreślonego porządku? Nie mam pojęcia. Jestem za to pewien, że rasa ludzka lubi czasami antagonizować to, co jest dla niej obce. Czy chaos sam w sobie nie jest tym, co nieznanne?

Zrozumienie chaosu – jako elementu po kantowsku będącego noumenem – jest równoznaczne ze zrozumieniem nieskończoności, która mieści się w nim tak samo jak w porządku i czasie. Jakie jest nasze pojęcie o nieskończoności? Mamy tendencję do zamykania czegoś, co niepojęte, ogromne i niezmierzone ludzkim umysłem do ∞ – przewróconej ósemki. Wynika to oczywiście z zakorzenionej w rasie ludzkiej ekspansywności – nie możemy zaakceptować czegoś, nad czym nie mamy żadnej kontroli, toteż nieskończoność raczej przemilczamy, a chaos i porządek definiujemy jako dwie siły, które wiecznie ze sobą walczą, tworząc rzeczywistość i wszystko to, co jest poznawalne przez nasze zmysły.

Czy aby na pewno chaos i porządek to siły przeciwstawne? Przykład: idziesz, Drogi Czytelniku, ulicą i znajdujesz na trotuarze 100 złotych. Myślisz sobie wtedy Ale mam dziś szczęście! – ogarnia Cię euforia, cieszysz się z przypadku, który jest właśnie przejawem tego chaosu, motorem napędzającym wszelakie zmiany w Twoim życiu, ale wciąż burzeniem pewnego z góry ustalonego porządku. Ale rozwińmy tę myśl, pójdźmy dalej: 100 złotych inwestujesz, dajmy na to, we własną działalność gospodarczą – konfitury według domowego przepisu. Wkrótce Twoja działalność gospodarcza się rozwija, nabierasz wiatru w skrzydła i wreszcie urastasz do rozmiaru gracza gigantycznego. Wszystko przez to, że moherowy beret, w drodze do wiadomego miejsca, zgubił banknot. Efekt motyla? Oczywiście. I to właśnie jest przejaw czystego chaosu, demonstracja jego siły i zdolności do manipulacji. O ile porządek uwidacznia się we wszystkim, co stałe – zaplanowane, to chaos jest wszelką zmianą. Te dwie siły się nie wykluczają i wcale nie toczą ze sobą boju, raczej ze sobą współgrają i dążą nieustannie do syntezy, bo chaos modyfikuje to, co z góry narzuca porządek. Te dwie siły żyją w symbiozie, ale z tyłu wciąż czyha ta niezrozumiana, obca nieskończoność.

Być może nie jest nam dane zrozumieć działania wielkiego chaosu – nie dowiemy się czy starożytni Grecy mieli rację, upatrując w tej sile moc kreatywną odpowiedzialną za stworzenie tego świata. Bez rozumienia wszelakich

mechanizmów nieskończoności nigdy nie uda nam się prawdziwie zbadać i zdefiniować chaosu.

Gdyby tak się przez drobną chwilę zastanowić: czy ten krótki tekst nie stał się właśnie przykładem ingerencji Chaosu w Twoje życie? Czy niespodziewane działanie niesamowicie długich łap tej siły w Twoim kierunku nie zburzyło pewnego rodzaju harmonii? Cóż, mógłbym pokusić się o stwierdzenie, że tak właśnie jest.

Żeby nie przedłużać, a i nie mącić jeszcze bardziej (wszak Chaos obroni się sam), rzecz można, że dobre życie to takie, w którym zachowa się jednocześnie stałość skały, reprezentując Porządek, ale też będąc otwartym na wiatr zmian niesionych przed odwieczny Chaos. Nie ma jednego bez drugiego – nie ma światła bez cienia – Yin bez Yang – tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni. Chaos nie jest złem, ale Porządek nie jest dobrem. I tak właśnie działająca od wieków niczym perpetuum mobile karuzela wieczności kręci się, wprawia w ruch nowe mechanizmy, podlega zmianom i prowadzi ku nieznanemu. Nikt z nas nie wie, czy kiedyś w te tryby nie dostanie się jedno, malutkie ziarnko piasku, które zburzy wszystko, co znamy. To właśnie będzie On.

Między Bogiem a prawdą

— recenzja *Dewocji* Anny Ciarkowskiej

Dominik Prądyński

Nie będę ukrywać, jakie miałem nastawienie do tej książki od samego początku. Po przedarciu się (sic!) przez *Chłopców*, *których kocham* i przejściu przez *Pestki* spodziewałem się czegoś kompletnie nie w moim stylu, czegoś, co zaliczyć by można do sztamkowego *écriture féminine* (celowo godzę w to pojęcie, które teraz można by już uznać za dalekie od feministycznych postulatów).

Zawsze zanim zakupię książkę, a robię to rzadko z różnych praktycznych względów, czytam pierwszą stronę, na której ciąży zadanie wkupienia się w moje łaski. Dokonywałem zakupu (a ściślej robił to mój serdeczny kolega, gdyż ja nawet z zamówieniem jedzenia mam problem) w trakcie spotkania autorskiego w Niebostanie, toteż musiałem w tej niekomfortowej konsumencko sytuacji wziąć kota w worku. Kot okazał się puszysty, a ja bardzo lubię puszyste koty.

Spotkanie pozwoliło mi ukraść autorce barwę głosu, a więc sama Anna Ciarkowska, a raczej jej widmo, opowiadało mi historię zawartą w *Dewocjach*, trudną w zasadzie do scharakteryzowania. Narratorka opisuje swoje życie we wsi, wysuwając wiarę katolicką na pierwszy plan. Imponujący jest fakt, że Ciarkowska z niczym się nie „rozprawia”, jak często lubią mówić krytycy o głośnych publikacjach. Każdy chce się z czymś „rozprawić”. Pisarka skupia się na w pewien sposób naiwnej, ale szczerej relacji między Bogiem a człowiekiem. Pokazuje nam też funkcjonowanie wsi w tym systemie, gdzie każdy każdego zna i każdego rozlicza się za jego grzechy, bawiąc się w charytatywnego boskiego asystenta. *Dewocje* to przekrój mikrokosmosu wiejskiego, gdzie działa silna władza kościelna, a główna bohaterka jest rozdarta między swoimi uczuciami a tym, co jest nazywane słusznym, stając się ofiarą szykan swojej własnej parafii.

Ciarkowska powiedziała, że lubi fragmentaryczność, ale cała przygoda z *Dewocjami* przypomina mi bardziej opowieść przy kawie i ciastkach, która wciąga nas do tego stopnia, że orientujemy się późną nocą, że czas się rozejść do domów i iść spać. Historia jest spójna, linearna, autorka naśladuje momentami język mówiony, nie rezygnując z mocnej poetyzacji stylu. Ale poza tym, że książka jest po prostu dobrze napisana, gdyż czyta się ją lekko, a jednak widać dużą wartość naddaną narracji, to mówi ona o czymś jeszcze, co wydaje mi się w dzisiejszych czasach bardzo ważną kwestią. Mówi o miejscu kobiety w społeczeństwie, o tym, że obraz kobiety-żony jako jedyne akceptowalne

scenariusza życia płci żeńskiej nie poszedł wcale precz, lecz czeka tuż za rogiem, tam gdzie wielkowiejska straż cywilizacji nie trzyma warty.

Jeśli dla kogoś powyższy wywód to za mało, żeby zakupić książkę, proszę jeszcze rzucić okiem na okładkę. Jest na czym zawiesić oko. Projekt Anny Gaik-Czasak jest naprawdę miły dla oka, a nie jest teraz łatwo o ładne okładki, przynajmniej tak wynika z moich obserwacji. A zatem... czytajmy i ozdabiajmy swoje półki kolorowymi matkami boskimi.

6 444 555 666 7777 222

Aleksandra Siemieniewska

Internet. Szeroki zasób, h i t – zero, zero.
Ludzkość dorównała Bogu, aktem zero-jedynkowego
stworzenia. Co Ty na to, szanowna blogosfero?
Kreacja kreację goni, bezlik i bezmiar nieskończonego

świata – drugiego. Rozstąpiły się drogi,
bez drogowskazu, szlak nieznan i srogi.
Między jawą a strefą – zero, między ‘wistością a ‘cyjnością
przepaść cywilizacyjnych chorób, z zagubioną szczęśliwością

Kochasz – nie widząc, rozmawiasz – ust nawet nie otwierając,
Palce nicią splecione, kilometrami. Odległość – nie znam,
co to za Pani? Czasem ból przynosi, gdy oczekując
cielesnego dotyku, spotykam nicość, choć chwytam

wyciągniętymi rękami – pragnę, nie znając
paradoksalnie wszystko już wiedząc
prócz tych drobiazgów codziennego życia przy sobie
ile łyżeczek cukru, jak układają się Tobie

włosy, po nocy przy poduszce spędzonej
czy wszystko będzie jak w rozmowie internetowej?
Mogę duszę Twoją z pamięci recytować
wersetami poezji – mogę Cię kochać

ale nie mogę Cię mieć – przy sobie.
„wszystko będzie dobrze” – powie
ten, kto jeszcze nie zgubił różnicy
subtelnej granicy

zero – jeden.

Nie pamiętam

Justyna Marcinkowska

Widzę dzikie łopiany i osty
rosną bez opamiętania
gąszcz absolutny i pochłaniający
i w niego to w masę zbitą
parującą jesiennym ciepłem
spadają jabłka skarłałe
ale słodkie, absolutnie
jestem wtedy mała
mam chustkę w kwiatuszki
na lekkiej jasnej głowie
i tonę w tym gęstowiu bez namysłu
i cała jestem w świecie swych prawd
w świecie domysłów
znajduję między skórami liści
jabłka jeszcze zielone
i wychodzę stamtąd na zawsze
cała w ostach

Widzę pole falujące w ciepłe lata
niedosięte niebo nade mną
widzę, jak się śmieje
tam daleko łaskoczą je przejrzałe kłosa
przerasta mnie wszystko i otacza
i ja wśród tego buduję dom zakazany
wydeptuję ścieżki, korytarze
zbieram kwiaty i zasypiam
na przygniacionych kłosach

Widzę poranek nad truskawkowym polem
w promieniach słońca
czerwony sok błyszczący na palcach

Widzę pomarańczową jesień
zostawiam bliznowate podpisy
na pękających dyniach
nie ma po mnie już śladu
nie pamiętałam wtedy
żeby zapamiętać siebie lepiej
żeby zostawić po sobie coś więcej
niż dom wśród kłosów dawno skoszonych

witajcie w mojej kuchni

Filip Kaczmarek

do zimnego wrzątku

wrzuć serce obrane ze skóry

100 ml kompotu, 6 łyżek herbaty

kieliszek wina

mieszaj – aż stwardnieje

poczekaj – aż przestygnie

podawaj na zimno

Morska głębia – debiut poetycki

Julia Marynowska

Przez wiele dni żeglowałam
po oceanie skłębionych myśli.
Nadal zanurzam się w ciemną otchłań,
zamykam oczy, dryfuję.
Nikt mnie nie widzi,
nikt mnie nie słyszy,
jestem tylko ja, sama pośród ciemnych głębin,
głucha na dźwięki wody.
Ciemna otchłań przepętnia moje ciało,
które wiotczeje i opada na dno.
Nagle słyszę delikatny szum wody,
odzyskuję równowagę między
ciałem a żywiołem wody.
Unoszę się coraz bardziej i bardziej,
chłód zmienia się w ciepło,
słyszę głośny świst płynącego ssaka,
czuję jego obecność.
Nagle prędkość wzrasta,
płynę coraz szybciej i szybciej,
wyskakuję z lustra wody,
oddycham rześkim, ciepłym powietrzem.
Ponownie zanurzam się w głąb oceanu.
Jak nowo narodzona dryfuję pośród fal,
dziękując morskim śpiewom.

Gołąb

Katarzyna Zapła

Moje podwórko jest niewielkie i łatwo zauważyć w nim zmiany. Zwiędła pelargonia – do wyrzucenia. Truchło myszy. Musiał ją przywlec wczoraj. Malutka. Pod ławką. Gołąb?

Pobolewa mnie dziś ręka, stąd moje rozdrażnienie. Wybacz. Gołąb. Tak, gołąb wydaje się być kłopotliwą sprawą. Każdy dzień ma „kłopot dnia”. Dziś kłopotem dnia jest gołąb. Bo widzisz, on jeszcze nic takiego nie zrobił. Siedzi pod ławką. I patrzy. Ja też patrzę. I się nie rusza. I już samo to, że się nie rusza, jest wystarczająco podejrzane. I rozumiesz, jak tak na niego patrzę, to jak nic wiem: „Oho, kłopot dnia!”. Ale nie warto skreślać całego dnia jednym przykrym przecuciem. Najpierw trzeba zebrać mysz. Gołąb może odleci.

Przykre przecucie wydaje się być prawdą. Gołąb jest tam, gdzie był. Rozglądnąłem się po podwórku, ale nic poza tym gołębiem nie zostało do sprzątnięcia. Wiesz, ja bym już dawno podszedł do niego, ale myślałem sobie: „No przecież to gołąb, odleci”. Ale jak trzeba, to trzeba. Poruszył się, chyba się trochę przestraszył. Ale spójrz, nie odlatuje. A! Skrzydło. Jak nic złamane. Ale żeby tak żadnego dźwięku nie wydawać. Dziwne stworzenie. Może jest w szoku? No bo popatrz, on już nie poleci. Można by nastawić. Ale przecież one mają inne kości. Puste. Nie, nie zrośnie się. I co z tobą zrobić, kolego? Pokaż się no. Pocztowy. Wycieńczony jesteś, co? Ciekawe, jak długo leciałeś...

Zostawiłem go w pudełku. Z wodą. Z ziarnem. Ale co zrobić? Przecież on już nie poleci, nastawić się tego skrzydła nie da. Nielotem ma być przez resztę życia? No, mógłby u mnie zostać. Ziarno i wodę by dostawał, przed kotem by się go schowało, pochodziłby sobie codziennie po podwórku. Wiem, wiem, co myślisz: „Z gołębia kurę chce zrobić”. Ale czy to byłoby takie złe?

Minęło kilka dni. Gołąb stał się kłopotem dnia kolejnego i jeszcze następnego. Toteż szybko zaczął mnie męczyć. Bo widzisz – nawet jednego dźwięku nie wydał. A jak długo można żyć w nieświadomości. Myślałem sobie: „A czy go to skrzydło nie boli?”. A on nic. Współczułem mu, martwiłem się o niego. A on nic. Cały czas pod tą ławką siedział. W ogóle po podwórku nie chciał chodzić. Współczułem mu, naprawdę. Myślałem o nim. Siadałem nad nim, na tej ławce. I mówiłem do niego: „I co tak patrzysz, kolego? Co? To razem popatrzymy”. I liczyłem wciąż, że ten jego smutek przegonię. Bo współczuć mu, współczułem. Byłem przy nim. I czekałem. Żeby się spod tej ławki ruszył, żeby dreptał sobie po podwórku. A on nic. Każdego dnia tak samo.

Dzisiaj, gdy jak co dzień przesiedziałem z nim na ławce dwie godziny, wziąłem go w ręce. Nie stawiał oporu. Jak zwykle, był całkowicie obojętny. Spojrzałem na niego. I ta jego oziębłość, obojętność, to jego puste spojrzenie, jakoś mnie rozżłościły. Bo przecież ja każdego dnia siedzę z nim, trwam w jego smutku, próbuję go pocieszyć. Myślę sobie: „Nie będzie tak źle”. A on nic. I jak tak na niego patrzyłem, to ręka boleć mnie zaczęła. A potem przypomniałem sobie, że od kilku dni poboлеваła mnie przecież. Skrzywiłem się. Gołąb wciąż spokojnie siedział w mojej dłoni. Zastanawiałem się: „Gdybym cię ścisnął, czy chociaż teraz wydałbyś jakiś dźwięk?”. Spokojnie, nie ścisnąłem go. Przemoc, to... No, wiem przecież. Ale byłem zły. Byłem wściekły. Byłem... Zdenerwowany? Ale przede wszystkim, uwierz mi – przede wszystkim, to ja mu współczułem! Siedziałem nad nim, troszczyłem się, nowe życie dać mu przecież chciałem. I nic. I musiałem się zastanowić, co z nim zrobić. Pomyślałem: „próbowałem!”.

A widzisz, już dalej opiekować się nim nie mogłem. Bo wiesz, ręka mnie niemiłosiernie bolała od kilku dni. Noszenie go stało się męczarnią. Skrzydła nastawić się nie dało, on już by nigdy nie poleciał. Nie chciałem, żeby cierpiał. No bo powiedz, co to za życie? On się męczył. Męczył się, jak nic. Biedne stworzenie. Czy tak można?

Tej nocy skręciłem mu kark.

Raniąc puder

Adrianna Rasmus

Kiedy pierwszy raz nakładam gąbeczką nowy puder, czuję, jakbym tarła papierem ściernym skórę dziecka. Najpierw gładka struktura kosmetyku, potem jakby rozpadająca się tkanina, milion włókienek unosi się w powietrzu, lewitując (między innymi). Krew wydobywa się gdzieś między jednym potarciem gąbeczką a kolejnym. Chyba tętnicza, jest jaśniejsza. Jasnoczerwona. Natlenowana. Wdycham z niej tlen, kiedy w łazience jest zbyt duszno.

Włókna krzyczą apetycznym półblaskiem, gdy przez nozdrza dostaje się dotyk wczesnego poranka.

Od krzyku pękają moje błony – codziennie w tej samej kolejności – najpierw bębenkowa, potem dziewicza. Dziwię się, że lustro nie rozpada się od wrzasku na miliony kawałeczków, drobin ostrzejszych od tych zębów, które codziennie rano wbijają się w moją szyję. Wiem, że to wampiry. Nie odbijają się w lustrze.

Umiem nakładać puder, nie patrząc na swoje odbicie. Wlepiam w nie jednak oczy, obserwując, czy na szkle rzeczywiście nie robią się rysy. Czy nie pęknie zaraz, czy nie uroni choć łzy.

Jest dzielne. A moje odbicie mężniejsze i odważniejsze, więc nie wiem nawet, czy w lustrze jestem jeszcze ja czy już nie-ja.

Maluję oczy według ustalonej kolejności. Najpierw lewe, potem środkowe, a na końcu prawe. Kreski robię ostre, mocno zakończone i wywinięte do góry. Próbuję dosięgnąć nieba, wybijając się cienkim szlaczkiem. Rozporoszone, napisane drobnym maczkiem, czeka je tylko figa z makiem w ciszy jak makiem zasiał.

A lustro rozpada się w drobny mak.

Odłamki wpadają mi do oczu, po policzkach płyną ciemne strużki rozmazanego tuszu, a wiem to, bo, gdy w końcu otwieram obolałe oczy, widzę te czarne potoki w odbiciu. Lustro wisi przede mną jak nowe.

Uśmiecham się do odbicia, a ono odpowiada po czasie.

– Ty – mówi, choć z moich ust nie padło jeszcze pytanie.

Podkrążonym oczom pomaga korektor używany w pasku lub w długopisie. Biel kontrastuje z czernią spływającego tuszu; śmieję się z widoku odbicia, a ono

śmieje się ze mnie. Wywracam oczami, kiedy odkręcam kran. Umywam ręce, nie mam z tym nic wspólnego.

Sąsiedzi wiercą dziurę w ścianie, a odbicie wierci mi dziurę w brzuchu. Na dworze ktoś kosi trawę, a nie-ja nuci jakąś melodię. Nie wiem, co to za piosenka, ale znam jej słowa. Synchronizujemy się na tyle, że nasze usta poruszają się w tym samym tempie, w ten sam sposób.

Dotykam dłonią tafli wody, która dzieli mnie od odbicia. Nie odwzajemnia mojego gestu, pod palcami czuję nieprzyjemny chłód, a nie ciepło opuszków drugiego człowieka. Ja chcę tylko, żeby przeciągnęło mnie na swoją stronę. Stronę, w której nie ma budzików na szóstą rano.

Krew ze zranionego pudru płynie wciąż niebezpiecznie. Rany, zabiłam go.

Drugi list do kapsuły czasu

Błażej Marcinkowski

Wyczuwałem, że zaraz nadejdzie pora sjesty. Oczy moje już dostatecznie długo różowiały w okresie wegetacji wirusowej, ale ich ruchy były wciąż żywe i pełne nadziei. Przed miesiącem, w oczekiwaniu na samolot jeszcze myślałem o ambicjach, rutynowej kawie ze świszczącego ekspresu, niezakończonym kursie językowym, na który się nie zapisałem – teraz nie myślę już o niczym stąd. Wszystko przepływa we mnie szybciej lub wolniej, nie powstrzymuję tego, niech mija.

Na lotnisku absurdalne zaskoczenie. Otóż, ku mojemu zdziwieniu machina miała posiadać w swej podstawowej masie naszych rodaków. Moje istnienie ugięło się pod ciężarem smutnej konstatacji. Patrzyłem na małżeństwo siedzące naprzeciwko – mężczyznę w średnim wieku, w istic plażowym humorze (założył bowiem klapki). Pomyślałem, że dzięki niemu katastrofa klimatyczna światu niegroźna – swoim ogromnym nosem pożerającym niemal całą twarz mógłby pompować powietrze dla całej rodziny; oddychał jednak ustami, z trudem dyszał. Jego żona była o tyle bardziej wulgarna, że postanowiła zdjąć obuwie. Odtąd swąd jej styranych odprawą stóp towarzyszył mi przez cały lot.

Nigdy nie mogłem dostąpić zaszczytu zajęcia tronowego miejsca przy oknie. Trudno. Przynajmniej dane mi było uważnie prześledzić, wręcz z infantylnym rozrzewnieniem, przedstawienie w wykonaniu stewardes. Lądowanie było nader przyjemne. Ordynarnie oczekuję, aż jakiś śmiałek postanowi w swej głupocie odpiąć pasy po zetknięciu podwozia z pasem startowym. Pani, która mentalnie przebywała już na leżaku pod palemką, przegrała sekundową walkę z siłą bezwładności i przytuliła skronią schowek bagażowy. Wyczuwałem jej wsobne modlitwy. Na twarzy palił się wstyd podobny pogorzalcowi, któremu nieopodal domu eksplodował wulkan. Moje niechlubne *schadenfreude* nakarmione.

Czekamy na autobus. Uderza mnie eklektyzm form hiszpańsko-katalońskiej architektury. Noc pachnie znaną słodyczą. Roztaczała się przy ziemi delikatna mgła osnuwająca latarnie w narkotycznych pozach. Chciałbym uderzyć się w ten głupi cymbał zestawiający mi *Aeropuerto de Son San Juan*¹ z Sukiennicami – przecież przyjechałem tu zapomnieć o tamtym sobie.

Jedynym, niegdyś też polskim bytem, jakiemu zezwalałem na zaburzanie mojego miru wewnętrznego, był błakający się nieopodal Cali duch schorowanego, ale szczęśliwego Chopina. Nadszedł w końcu dzień wycieczki. Zatłoczone od różowych czaszek ulice jawiły się jakoś nieprzyjemnie, nawet zamaskowane. Błędem było usiąść na środku – w dziesięć minut napadły nas

majorkańskie matrony, pokazując na migi, abyśmy wyemigrowali z zajętych miejsc. Nie przejąłem się specjalnie – marzyłem. Raczej próbowałem zdefiniować, czego oczekuję od tej krainy. Przygody? Jakiej przygody? Uczestnictwa w wydarzeniu, które wykracza poza zwykłość, jednocześnie niebędące czymś niezwykłym. Żadnego podróznego blichtru. Pragnąłem, aby krótki żywot tutaj nabrał rzadkiej i drogocennej jakości.

Rzeczywiście. *Żyję trochę więcej... Jestem blisko tego, co najpiękniejsze. Lepszy jestem*². Odnajduje szczęśliwość nawet w wyobcowaniu, którego doświadczył. Czuje się winny, jakbym przed wiekiem ukradł mu fortepian. Nie chcę patrzeć na wygotowane ściany nawiedzonego gruźlicą domu. Wodzę ku klasztorowi Kartuzów, tam straganiarz puszcza *Balladę F-dur*, rozentuzjzmowany wyburza ku nam i daje kubeczki miejscowego soku z toranji. Valldemossę wspominam inaczej niż George Sand w *Zimie na Majorce* – nie spotkałem bowiem ani jednego *nieokrzesanego prostaka*³.

Ubóstwiam hiszpańskie *mercados*⁴. Doznaję tyle szczęścia, gdy swój śpiew roztacza przystojny pan z gitarą. Jakie wyżyny mógłbym osiągnąć, gdyby moje własne życie było zawartością melodii zgiełku. Żaden owoc wydaje się nie mieć śladu zgnilizny. Nienawidzę tych oliwek, którym zazdroszczę zażywania całodobowych kąpeli w ogromnych półmisach. Najokrutniej pachnący ser maskuje pot umierających w ukropie turystów. W beztroskim nonsensie wszystko wydaje się mieć sens.

Zagęszczają się teraz moje myśli od posagu doświadczeń, a obfitość i bogactwo karmią szarą istotę mózgu. Usadziwszy opasłe jestestwo przy wyjściu awaryjnym, wyglądam zasłuchany za firankę z zapartym oddechem i czuję dziwne jakieś łaskotanie w okolicy łędźwi. Pasażerów obserwowałem przez opuszczone rzęsy, jak przybierali barokowe, spazmatyczne pozy niby *figura serpentinata*. Od dawna nie śniłem tak desperacko, żeby zobaczyć kiedyś, jak z otwartych brzuchów moich rodaków idzie para, mięsista para mieszająca się z obleśną łuną samobójczości. Oczy mam znowu wygłodniałe i nieskromne – jakbym znowu poszukiwał sprawiedliwości, niczym mędrzec, który odpłaca za krzywdy ludzkie światu.

¹Międzynarodowe lotnisko w stolicy Majorki – Palma de Mallorca.

²F. Chopin, *Do Juliana Fontany w Paryżu* – Listy, 1839.

³G. Sand, *Zima na Majorce*, Paryż 1842.

⁴*Mercados* – z hiszp. targowiska.

obraz z dni trwających

Kamil Ostrowski

kosmosy neonowe, martwe
przestrzenie też i twarze ciał
przezroczyste, trwające
słońca akumulatorowe, zmęczone
światła też i źrenice oczu
płytkie, zgubione
światy mechaniczne, programowane
myśli też i horyzonty snów
zamknięte, zapomniane
i gwiazdy elektrycznym batem skatowane
i księżycy technologicznym przyciskiem unicestwione

(sny krystaliczne z czeluści istnienia
chłopca zbłąkanego w labiryncie dnia
gdzie przegrane prawdy i pytania)

duszenie wieczności ciężkich
końca i nieskończenia
zdeptanie chwil absolutnych
ducha i pragnienia
tkanie melodii fałszywych
pędu i zatracenia
w tej rzeczywistości
człowiek skomlący
przybity
do połaci sztucznych mas kroczących

Kartka z pamiętnika

Aleksandra Ludwicka

Pociąg tego dnia miał pięć minut opóźnienia. Pięć minut, które przerodziło się w dziesięć, piętnaście, a ostatecznie odjechaliśmy godzinę po czasie, zatem na miejscu byłem po północy. Dworzec o tej porze przypominał miejsce z najczarniejszych sfer mojej wyobraźni. Staralem się nie myśleć zbyt wiele i jak najprędzej przedostać się na kolejny peron, przy którym miał czekać pociąg. Kolejny. Tym razem stwierdziłem, że pojedę na wschód, chociaż nazwa wioski, do której się wybierałem, nic mi nie mówiła. I nie musiała – wolałem zaufać intuicji, a skoro wybrała właśnie to miejsce, kimże byłem, aby się sprzeciwiać?

Wiedziałem, że jeśli mi się nie spodoba, po prostu zmienię kierunek; rzucę monetą albo zagram w karty z jakimś bezdomnym. Jeśli ja wygram, jadę na północ, jeśli on – na południe. Przy okazji zostaną oskubany z dwóch złotych, które mężczyzna z dumą wyda na kolejnego Harnasia.

Lubiłem tułaczkę. Miałem dom, nawet całkiem ładny. Świeżo pomalowane ściany i własny pokój, który mogłem urządzić po swojemu i chociaż to całe „po mojemu” ograniczało się do powieszenia kilku plakatów The Rolling Stones na śnieżnobiałej ścianie, doceniałem gest rodziców. Doceniłbym znacznie bardziej, gdyby pustą przestrzeń wypełniły ich śmiechy, narzekania i wieczorne rozmowy o niczym przy blasku iskrzącego ogniska świeżo rozpalonego w kominku.

Kakofonia ciszy była nie do zniesienia. Przygniatała mnie, zupełnie jakby ktoś położył mi na piersi tonę gruzu. Dlatego postanowiłem uciec z domu ociekającego samotnością i zamieniłem go na samotność daleką od domowego zacisza.

Chciałem uciec; uciec od demonów spod łóżka, skąd głosy każdej nocy szeptały mi do ucha rzeczy, które boją się wypowiadać na głos; uciec od milczenia, które wypełniało każdy pokój; uciec od rzeczy i ludzi, których nigdy nie miałem, a za którymi tęskniłem.

Nic mnie nie powstrzymywało przed rozprostowaniem skrzydeł i wyfrunięciem z gniazda, które zabijało własne dzieci.

Siedziałem w pociągu, słońce powoli wychylało się zza horyzontu, a drzewa lekko ugiwały się na wietrze. Nie miałem celu, nie miałem też po co wracać, więc jechałem, wsłuchując się w dźwięki kół objających się o tory.

